

W głąb słowiańskich dziejów

Dawid Brykalski: Stałeś się pracoholikiem? Ukazuje się książka za książką twojego autorstwa...

Witold Jabłoński: W moim wypadku o twórczości decyduje natchnienie, bez którego nie da się pracować, potem zaś istotny jest termin publikacji, jaki ustali wydawca. Wydawnictwo Genius Creations opublikowało „Dary bogów” w 2019 roku, ale wcześniej czekałem na edycję tego utworu w innej oficynie niemal trzy lata. W 2020 ukazał się „Popiel”, a na sierpień 2021 roku planowana jest „Wanda”, zamykająca cykl „Saga słowiańska”.

Kolejna książka, która ukazała się w czerwcu tego roku, to drugi tom powieści „Ślepy demon” z podtytułem „Zbigniew” (cykl „Słowiańska Apokalipsa”, wydawnictwo superNowa). Warto jednak zauważyć, że na edycję tego tytułu z powodu różnych perturbacji losowych i pandemicznych musiałem czekać prawie sześć lat! Przez ten czas kiepsko mi się wiodło i gdyby nie tłumaczenia rosyjskiej fantastyki pewnie przymierałbym głodem... Spiętrzenie tytułów w ostatnich latach sprawił przypadek, nie moja nadmierna pracowitość. W tym roku po prostu zbieram to, co wcześniej zasiałem.

„Dary bogów” to twoja interpretacja mitologii Słowian. Jak długo nad nią pracowałeś? Czy, jak zwykle, przeczytałeś wszystko, co jest dostępne na zadany temat?

Owszem, czytałem wszystko, co opublikowano, bo zajmowałem się już tym tematem, pisząc „Słowo i miecz” (2013), powieść o Miećławie i tzw. reakcji pogańskiej. Jako trzy najbardziej inspirujące mnie prace mogę wymienić: „Mitologię Słowian” Aleksandra Gieysztora, „Religię Słowian” Andrzeja Szyjewskego i „Niesamowitą Słowiańszczyznę” Marii Janion, które szczerze polecam.

Mitologia Słowian to świat wciąż nierozpoznany?

Czytając jeszcze w liceum „Mitologię” Parandowskiego, zastanawiałem się: czemu nie ma podobnego popularnego omówienia rodzimych mitów dla młodzieży? W latach 80. wpadła mi w ręce wspomniana już fundamentalna praca Gieysztora i dzięki niej zrozumiałem, jak niewiele zachowało się wiarygodnych źródeł, na których można by oprzeć naszą wizję tej mitologii. Profesor zrobił to doskonale, ale jednak jest to opracowanie popularnonaukowe, mnie zaś doskwierał brak literackiego ujęcia opowieści o naszych bogach i herosach. W końcu, około roku 2016, uświadomiłem sobie, że może ja powinienem coś takiego napisać. Zachęcony przez Artura Szrejtera, znakomitego historyka i gawędziarza, który później mój tekst zredagował, napisałem całość w trzy wiosenne miesiące jednym ciągiem. Widać tak długo te opowieści nabrzmiewały w moim umyśle, że w końcu wypłynęły ze mnie niczym dojrzałe wino.

Kiedy jednak udałem się z gotowym materiałem do paru wydawców, natrafiałem na dziwną obojętność i brak entuzjazmu. „Mitologia słowiańska?! A w ogóle jest coś takiego?” Taką ignorancją popisywali się nawet ludzie z wyższym humanistycznym wykształceniem! I oczywiście większość sądziła, że skoro to „bajki”, muszą być pisane dla dzieci. Uświadomiło mi to, jak wielka jest w tej kwestii niewiedza naszego społeczeństwa i jak ogromną pracę należy wykonać, by nadrobić wieloletnie zaniedbania w edukacji na temat własnych korzeni kulturowych. Wielu młodych ludzi zna jako tako mitologię grecką ze szkoły, mity skandynawskie, germańskie, nawet celtyckie dzięki książkom, grom i filmom, ale nie ma pojęcia o naszej własnej mitologii. To bardzo smutne zjawisko, które należy zmienić i mam nadzieję, że moja książka odegra w tym pewną rolę.

Planujesz kontynuację, czy to dla ciebie temat zamknięty?

Skoro odkryłem dla siebie nowy świat przedchrześcijańskich wierzeń i obyczajów naszych przodków, co było wyraźnym przełomem w mojej twórczości, myślę, że świat ten skrywa jeszcze wiele zagadek, które postaram się rozwikłać w kolejnych powieściach. Jak już wspomniałem, w tym roku ukaże się „Wanda”, zamykająca cykl poświęcony rodzimym mitom i legendom, co nie oznacza, że jeszcze do niego nie wrócę.

Kolejności ukazywania się twoich książek nie odpowiada chronologii ich powstawania. Wyjaśnij zatem, co było pierwsze, jak przebiegał kierunek inspiracji?

Najpierw był cykl „Słowiańska Apokalipsa”: „Słowo i miecz”, „Ślepy demon”. Są to fantazy historyczne, dziejące się w XI wieku, w których rodzime wierzenia i demonologia są raczej malowniczym tłem, nie głównym wątkiem. Ponieważ jednak w trakcie pisania ich dość dogłębnie studiowałem dostępną wiedzę na ten temat (tymczasem ukazał się znakomity „Bestiariusz słowiański” Witolda Vargasa, Pawła Zycha), stworzenie kolejnego cyklu, opartego już stricte na rodzimych mitach i legendach, wydawało się naturalną konsekwencją podjętych wcześniej prac. Cykle łączą się ze sobą niektórymi elementami fabuły, wynikającymi z tego, że dzieją się w tym samym świecie. Uważny czytelnik z pewnością wyłowi wszystkie smaczki i nawiązania. Nie jest to jednak prosta kontynuacja, raczej wspólne uniwersum.

Czy cyklem słowiańskim sugerujesz, że początki państwa polskiego niekoniecznie były takie, jak nauczają podręczniki szkolne?

Od zawsze w moich powieściach historycznych, poczynając od cyklu „Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer” o śląskim uczonym Witelonie z XIII wieku, pragnąłem odkłamać upiększony, bogoojczyźniany i sentymentalny obraz naszej historii, w którym Polacy przedstawiani byli niemal wyłącznie jako szlachetni rycerze bez skazy, zawsze broniący jakichś świętości. Wkurzała mnie ta cukierkowa wizja, stworzona w XIX wieku „ku pokrzepieniu serc”. Jak ktoś palił, gwałcił i rabował, to oczywiście Krzyżacy, my nigdy. Na szczęście przyszły czasy bez cenzury, kiedy można było pokusić się o bardziej obiektywną prezentację naszych dziejów i dawnych zwyczajów. Wybieram chętnie epoki trudne, zagmatwane, w których wszystko nie było takie proste i czyste: najpierw rozbitcie dzielnicowe, później tzw. reakcja pogańska, ostatnio świat przedchrześcijańskich przodków... Można by rzec, cofam się w głąb naszych dziejów, by odkrywać nieodkryte dotychczas karty i dać do myślenia rodakom, ukazując nie tylko nasze jasne strony, ale również te ciemniejsze, nieraz wstydliwie skrywane.

Gdzie szukasz faktów z przeszłości? Czy w ogóle można tu mówić o faktach?

Odpowiedź jest prosta: w rzetelnych pracach historycznych. Mieliśmy i mamy wielu znakomitych historyków, ale często ich akademickie dokonania nie przebijają się do powszechnej świadomości. Upowszechnić je na poziomie popularnym jest między innymi zadaniem literatury. Na szczęście przy dzisiejszej technice niekoniecznie trzeba ślęczeć dniami i nocami w bibliotecznych czytelniach, bo mamy też Google i inne platformy ułatwiające znacznie research i kontakty z autorami prac.

Cykl „Słowiańska Apokalipsa” jest już zamknięty, czy będą kolejne tomy? Losy bohaterów wydają się zagmatwane.

W cyklu pisanym dla superNowej planowany jest jeszcze jeden, ostatni tom, zatytułowany „Wyklęta krew”, do którego zacznę się chyba przymierzać w przyszłym roku.

Masz w dorobku również kilka audiobooków. Czy twoje powieści wymagały przeróbek? Brałeś udział w nagraniach?

Przede wszystkim były... darami bogów. Tak się złożyło, że kiedy szukałem wydawcy do „Darów...” zgłosiła się do mnie Audioteka z pytaniem: czy miałbym coś dla nich z tej dziedziny? Odpowiedziałem, że mam gotowy tekst. Przyjęli go z entuzjazmem i zaczęli opracowywać, ale bez mojego udziału. Programowo zresztą nie chciałem się wtrącać na żadnym etapie nagrań, wiedząc jak upierdliwy bywa autor w takich sytuacjach. Sądziłem, że tak jak większość ich produkcji, utwór zostanie odczytany przez jednego aktora (w tym wypadku Wiktora Zborowskiego, co wielce mnie ucieszyło) i na tym sprawa się skończy. Premiera była więc dla mnie ogromną, radosną, niespodzianką: okazało się bowiem, że zamiast zwykłego audiobooka zrobili superprodukcję, wspaniałe słuchowisko z plejadą świetnych aktorów (jak choćby Magdalena Cielecka, Jakub Wierczok i wielu innych), efektami dźwiękowymi i piękną muzyką. Następną produkcją tego typu był „Popiel”, do którego pisałem od razu oryginalny scenariusz równoległe z wersją powieściową. W słuchowisku wystąpiło ponad czterdzieścioro aktorów, w tym takie sławy jak Kazimierz Kaczor, Leszek Lichota czy Maciej Musiał, a oryginalną muzykę skomponowała Aleksandra Gryka, natomiast efekty dźwiękowe zrealizowało studio Platige Image.

Planowana jest także „Wanda”, lecz względy pandemiczne opóźniły produkcję, a wersja powieściowa jeszcze czeka na publikację. Tymczasem ukazały się też w formie audio cztery tomy cyklu o Witelonie, czytane przez Filipa Kosióra. Miałem ogromne szczęście, spotykając na swojej drodze tak wspaniałych, utalentowanych i profesjonalnych ludzi, a owa współpraca przyniosła mi wiele radości. Przy okazji niechcący odkryłem nowy sposób promowania literatury: najpierw audiobook, potem wersja drukowana. Wielu czytelników bowiem sięgnęło po moje książki zachęcanych właśnie audiobookami.

Kiedy myślę o tym, jak Łódź zabiega o promocję, jak staje się modna, przychodzi mi do głowy inna twoja książka...

„Miasto nawiedzonych”, miejski horror, który ukazał się w 2013 roku. Choć nie pada w nim nigdzie nazwa, każdy mieszkaniec Łodzi lub ktoś choćby trochę zorientowany w historii i charakterze naszego miasta z pewnością bez trudu zorientuje się w przedstawionych realiach. Opisałem w niej czas rządów ekipy Kropiwnickiego, toteż jest to Miasto (tak pisane, wielką literą) ponurej grozy, rządzone przez fanatycznych głupców... Gdybym pisał tę powieść dzisiaj, z pewnością byłaby bardziej optymistyczna.

Czy Łódź w twoich oczach bardzo się zmieniła? Czy jest miastem dla artystów, pisarzy?

Ogromnie zmieniła się na lepsze i wypiękniała, co nie oznacza, że nie ma i dzisiaj swoich ciemnych stron. Niedawno zaczął je eksploatować młody pisarz Maciej Kaźmierczak w takich utworach jak „Dziennikarz” i „Martwy ptak”, a wiem, że planowane są kolejne fabuły rozgrywające się w tych realiach. Może dorobimy się łódzkiego Chandlera, kto wie?

Aktywnie uczestniczysz w życiu środowiska fanów science fiction i fantasy...

Niestety, pandemia ograniczyła znacznie spotkania konwentowe, ale bardzo krzepiący jest kontakt z masą ludzi młodych i młodych duchem, połączonych wspólną pasją i wspólnymi kodami kulturowymi. To świetne środowisko, bardzo niesłusznie lekceważone przez przedstawicieli głównego nurtu: właśnie w nim spotkałem mnóstwo czytających, myślących, wartościowych i wspaniałych działających ludzi. Chętnie znów zacznę spotykać się z fandomem, kiedy tylko to będzie możliwe.

2021 to rok Stanisław Lema. Jako pisarz uświetniłeś setną rocznicę jego urodzin? Jak chciałbyś zachęcić młodszych czytelników, by sięgnęli po jego książki?

Cóż, wstyd się przyznać, ale nigdy nie byłem fanem „twardej” SF, a w konsekwencji także twórczości Lema... Z całym szacunkiem rzecz jasna dla jego dokonań, mogę powiedzieć, że najbardziej lubiłem z jego twórczości utwory pisane żartobliwie, jak „Cyberiada”, „Bajki robotów” czy „Dzienniki gwiazdowe”. Z poważnych najbardziej bliska mi była „Solaris”, mieszanka romansu z horrorem i świetnie napisana nowela „Maska”. Uważam, że jego powieści powinny znaleźć się na liście lektur szkolnych, ale zawsze atrakcyjniejsze są te zakazane książki, czytane namiętnie pod ławką.

Czy jest pytanie, które zawsze chciałeś usłyszeć w wywiadzie, a które nigdy w rozmowach nie padło?

Ponieważ nie jestem literacką gwiazdą, nikt jeszcze nie zapytał, jaką kuchnię preferuję. Na takie pytanie odpowiedziałbym bez namysłu, że wileńską. Nie zrozumie tego nikt, kto nie smakował nigdy kołdunów mojej nieboszczki matki. Sam nie nauczyłem się ich robić, ale na szczęście sztukę tę opanowali siostrzeńcy, więc rodzinna tradycja kulinarna nie zanikła.